

W leśnej gęstwinie Balladyna zabija siostrę. Nie ma już rywali. Bez przeszkód posłu bę Kirkora, lecz nie będzie jej dane życie długie i szczęśliwe w bogatym pałacu. Zbrodnia pociągnie za sobą szereg następnych, uderzą wyrzuty sumienia, które niczym krwawa plama na czołe, przypominać będzie o winie i nieuchronnie z nią związanej karze. Sprawiedliwość stanie się w końcu za dość, Balladyna zginie rażą na piorunem, sama natura wymierzy jej sprawiedliwość. Tak kończy się udratyzowana baśń, utkana z fantazji, legendy, romantycznego wyobrażenia o świecie widzianym jako irracjonalny żywioł. Jaki klucz znaleźć winien do tego dramatu jego współczesny inscenizator, by sztuka przemówiła do dzisiejszego odbiorcy?

Dzieło Słowackiego różnie bywało interpretowane przez badaczy literatury i w tych próbach jego odczytania można zapewne szukać inscenizacyjnych wskazówek, traktując je np. jako dramaty władzy. Marek Okopiński opowiedział się jednak za dramatem namiętności, usiłował sięgnąć do tych ukrytych, tajemnych stron ludzkiej istoty, czyniących z niej demona zła. Nie zrezygnował też z całej romantycznej aury utworu, z jego cudowności, tajemniczości, irracjonalizmu, z całej tej bajkowej otoczki, której znakiem kształt plastyczny nadała scenografia Jadwigi Pożakowskiej, wsparta muzyką Andrzeja Głowińskiego. Tak powstała najnowsza realizacja sceniczna romantycznego dramatu wystawiona przez Teatr „Wybrzeże” dla uczczenia jubileuszu 40-lecia. Powstał jeden z tych

spektakli, które naprawdę niezwykle trudno ocenić jednoznacznie — zdecydowanie ganiąc lub też chwalać. Przedstawienie ma bowiem zarówno wady jak i zalety, a ważąc jedno i drugie, dochodzimy do wniosków umiarkowanych, „letnich”, kompromisowych, co może nasunąć refleksję, iż są to „jubileuszowe” uniki tuszujuce stanowisko negatywne.

Nic z tych rzeczy. „Balladyna” Okopińskiego potwierdza po prostu coś, co często i czasem nawet drastycznie objawia się w przypadku inscenizacji literackiej klasyki. Okazuje się mianowicie, że bez jakiegos pomysłu — chwytu — klucza,

go czego w nim nie ma. Opowiedział nam baśń, której bohaterowie stali się igraszką w rękach Goplany, uosa białej ślepy, tajemniczy los. Baśń, w której historyczna legenda spleta się z ludową balladą.

Ma ta opowieść swój niezaprzeczalny urok, który zawdzięcza błyskotliwości, pięknu, humorowi poetyckie go języka i plastycznej wizji wykreowanej przez J. Pożakowską. Pośrodku sceny okolonej z trzech stron drewnianymi bałami i przypominającej wnętrze dawnego warownego grodziska — po tężny pień. Korona tego drzewa różne przybiera formy, wieloma kolorami też

W malinowym gąszczu...

Anna Jęsiak

bez stworzenia płaszczyzny porozumienia ze współczesnym widzem brzmią one zawsze cokolwiek anachronicznie, nazbyt „teatralnie”, nie wywołują oczekiwanego rezonansu. Ten pomysł to właśnie największy problem każdego z inscenizatorów, lecz bez niego naprawdę o sukces trudno. Rozwiązaniem wcale nie muszą być „Hondy”, które wypomniacie zapewne będziemy w nieskończoność Hanuszkiewiczowi... Pomysł nie musi też wcale łamać wierności, wypaczać idei utworu. Marek Okopiński pozostał Słowackiemu wierny, zarówno w zamysśle jak i w klimacie niczego nie rewidował, nie doszukiwał się w utworze te

się mieni, podobnie jak tło — niebo, które w finale rozpałi się czerwoną łuną. Brązy, prawie czarne pniki, stanowią znakomitą oprawę dla bajecznie kolorowych, wdzięcznych kostiumów. Niektóre są fantazyjne, pomyślane na miarę baśniowej rzeczywistości (Goplana, Skierka, Chochlik), inne noszą ślad sielankowej stylizacji (Filor, dziewczęta z weselnego orszaku), bądź są prostymi wieśniaczymi strojami, niczym z obrazów Chełmońskiego. Ład, smak, harmonia, połączenie prostoty i cudowności — to cechy, a zarazem walory zewnętrznej strony gdańskiego spektaklu.

Wewnętrznie skomponowany starannie, spięty pojawieniem się Poety (Jacek Mikołajczak) na początku i końcu, ma niestety kilka dłużyżn, z których ta we wprowadzeniu razi bodaj najbardziej. Największy jednak za wód, tym większy, że w tak wystawionym dramacie, to właśnie winno być punktem najmocniejszym, sprawia gra aktorów. Rewelacyjnie wypada dla Halina Kosznik-Makuszewska w roli Matki-Wdowy — ta postać ma w sobie godność, szlachetność, bezmiar matczynej miłości, tak że ból i rozpacz, które poruszają do głębi, chociaż aktorka unika środków ostre, powściąga emocje, panuje nad ekspresją. Znako



Izabela Orkisz — ALINA i Małgorzata Ząbkowska — BALLADYNA.
Fot. Tadeusz Link

mitą był Jerzy Dąbkowski, którego Grabiec jest i chłopkiem-roztropkiem, świadomym własnej popularności we wsi, próżnym, naiwnym, żądnym władzy „mięsnym” człowiekiem, i błaznem, który gubi miłość własną. Dąbkowski celnie wydobyl „sierniężność”, swojskość tej postaci, „wygrał” też świetnie cały jej żałosny komizm. Na tle tej pary inni nie zaprezentowali się najlepiej. Mało przekonująca była Balladyna Małgorzaty Ząbkowskiej, nijaka Alina Izabeli Orkisz. Goplana Doroty Kolak, chociaż bardzo dynamiczna, „z charakterem”, miała chyba za mało z nimfy, boginki „z mgły i galarety”, zarysowana została wyraziście i dopiero w końcowej refleksji, w słowach „popłatałam ludzkie czyni...” bliższa była naszym o niej wyobrażeniom. A może tak być powinno, gdy się na świat „Balladyny” patrzy jak na tygiel żądź i namiętności, a w bohaterach — dostrzega przede wszystkim — tęsknotę za miłością?